NA ZIEMI NASZEJ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

WŁADYSŁAW ORKAN.

Wskazanie.

Kiedyś się w życiu dała w lenno,
Umiej-że, duszo, znieść niewolę —
Gdy cię jak jodłę niebopienną
Gnie wicher, hardość miej w swem czole.

Miej moc odgięcia i sproszczenia
Po każdej burzy, która-ć znęka —
Zdrową bądź wiecznie ode rdzenia,
Choć kora w bruzdy chore spęka.

Postrach rzuć z chmur na ludzi-drwali,
Błękity zadziw swym wyrostem —
A gdy cię śmierć siekierą zwali,
Bądź ku wieczności mostem...

Szlakami mesjanizmu.

I. Byłoby przedsięwzięciem niezmiernie interesującem, nawet pedagogicznie ważnem — napisać pragmatyczną historję zapoznań i przemilczeń, jakie się w ludzkości stale dokonywują wobec pewnych usiłowań wytworzenia społecznej sprawności w postępie życia wewnętrznego, wobec prób podbudowania mocnej, twórczej postawy, wobec kultury. Tak częste w każdem pokoleniu „odkrycia literackie“, odkopaliska w pokładach ideowości lat ubiegłych, wydobywające wartości niekiedy pierwszorzędne, niespożyte, wieczne, a owocześnie zaniedbane — dostarczyłyby materjału wystarczająco wiele. Wartoby poszukać u podstaw tych wszystkich faktów społecznego przemilczenia, wartoby doszukać się przyczyn zjawiska, ustanowić prawo reakcji środowiska na usiłowania jednostek wyższych.

Praca taka, dochodząca źródlisk ludzkich pobudek postępowania, miałaby wartość społeczną pierwszorzędną, poznanie w tej dziedzinie dałoby przesłanki do faktycznego wzmożenia natężenia prądu społecznej energji postępu — przez oczyszczenie źródeł. Bo zapoznanie jakiegoś twórcy w współczesności nie zawsze się wytłumaczy jego wyższością; kontakt między społecznymi niżami a szczytami nie zawsze się zrywa z winy tych ostatnich, częściej może dzieje się tak, że niże ulegają wobec pewnych szczytów prawu odpychania, same się cofają, przesuwając dystans poza granice możliwości wzajemnego oddziaływania. Wtedy się czują bezpieczne.

Oczywiście, podjęcie zbadania tych spraw wymaga ogromnej sprawności w nieustraszonem dochodzeniu we własnej przedewszystkiem duszy motywów postępowania; indukcją tylko da się badać ta dziedzina zjawisk. Pojekcja własnych doznań na ekran społeczny zajęłaby lwią część metody badania. Tym może powodem, tą potrzebą uprzedniego wyrobienia wewnętrznego u badacza, wyszkolenia w autoanalizie, tłumaczyć można, że historji, o której u wstępu wspomniałem do dziś dnia nie napisano i nie rychło chyba ona napisaną będzie. A byłaby to jedna z ciekawych kartek psychologji społecznej.

Mam wrażenie, że obok prawa prostolinijności postępu, prawa niepozwalającego na zawielkie wyskoki w górę czy w dół — gra w tym fakcie przemilczenia niepoślednią rolę czynnik inny: instynkt samozachowawczy egoizmu ludzkiego. Sprawa to za szeroka, by ją tu wyczerpać, szkicuję więc jeno punkty wytyczne.

Już Plato wiedział w Lachesie, że człowiek poznaje rzeczy nie w ich istocie, ale poprzez stosunek tych rzeczy do czegoś trzeciego, a już zawsze do siebie (subjektu). Objektywizm naszego poznania jest więc tylko zsumowaniem większej liczby subjektywizmów, dla odrzucenia cech oczywiściej nieistotnych — niczem więcej. „Poznacie prawdę, a prawda was wyswobodzi“ — powiada Pismo, alę pospolicie nie chodzi nam o to „wyswobodzenie“, a tylko o to, by prawda

nowa nie burzyła gmachu prawd już przyswojonych, ale by się dała do nich dogodnie przyczepić, dostosować. I w dziedzinie życia ideowego wielką gra rolę zasada naturalnego doboru. Systemat naszego poglądu na świat ustanawia się po wypadkowej z „prawdziwości" danych prawd i ich dogodności. Że w tym aliażu prawda chemicznie się niejako przekształca, że często staje się pół-prawdą — o to mniejsza.

Jest to właściwość psychiki ludzkiej ogromnie oczywista i nie zawsze pozwalająca rokować piękne nadzieje co do szybkości postępu ludzkiego w prawdzie. Właściwość niebezpieczna. Z nią to walczył Mickiewicz, kiedy odsądzał od wartości społecznej ludzi „z systemikami", a budował przyszłość na człowieku wolnym. „Lud, to człowiek cierpiący, człowiek tęskniący, człowiek wolny w duchu, człowiek, który nie przychodzi z zapasem gotowych systemików... Człowiek pozbawiony tych przymiotów, człowiek, którego serce nie drga na słowo z ust Gracha lub św. Pawła, taki człowiek nie jest ludem. Darmo on będzie się mięszał w tłumie; po jego wzroku mglistym, po jego mowie pełnej formułek poznają go zaraz, że jest człowiekiem starej epoki. Nie takim to ludziom zgotowana przyszłość."*) Z tą samą właściwością walczy Ewangelia, kiedy mówi, że nie godzi się lać młode wino w stare butle, ani naszywać płat nowego sukna na starej szacie. (Łuk. 5. 36—39).

Postęp w poznaniu — wymaga koniecznego postępu w jakości moralnej poznającego, inaczej wyrabia się dorobkiewiczowskie uczucie lekceważenia prawdy, którą można zyskać, nic w zamian nie dając. Stąd sceptycyzm.

Sprawy tu poruszone nabierają oczywistości na pograniczu zagadnień etycznych, gdzie w rachubę wchodzi z konieczności moment społeczny, więc konfrontacja wzajemna jednostkowych instynktów samozachowawczych, egoizmów. Wszystkie inne prawdy, np. filozoficzną, estetyczną etc., można jakoś unieszkodliwić, oswoić, zgodzić je z dotychczasowym „stanem posiadania". Można być wykwintnym estetą i lichym człowiekiem równocześnie, można być „filozofem" i szubrawcem. Stąd zjawisko p r z e m i l c z e n i a dorobku w którejś z tych dziedzin, — rzadkie. Wypadek Norwida jest nieomal wyjątkiem. — Owszem, społeczeństwu to imponuje, że może się poszczycić tak potężnemi postaciami „wielkoludów" w dziedzinie intelektu czy uczucia. Można im wznieść pomnik, można ich książki ułożyć na stoliku i delektować się ich — oprawą... Nie są niebezpieczne. „Trefniś jeno, jeno poeta" (Nietzsche), jako filozof.

Ale niechno który zechce być czemś więcej niż artystą, niż pieścidełkiem rozestetyzowanych dostojnych uszu, sprawa się zaraz odmienia. Proste zestawienie ludzi, których owoczesność nie pojęła, przeoczyła — mówi za siebie. Żeby już na polskim zostać terenie: od Frycza Modrzewskiego, Skargi, aż do St. Witkiewicza — wszyscy ci przemilczeni to ludzie, którzy chcieli d u s z e z m i e n i a ć, poruszać je w najniższych pokładach, dostrajać do wyższego diapazonu wzniosłego życia. To też ich... przeoczono!

Zamilczenie jest wypróbowaną metodą obrony zagrożonego „stanu posiadania" duchowego egoizmu. Takich metod jest wiele, tworzył je instynkt samozachowawczy przez wieki całe, ale wyczerpanie ich nie wchodzi w zakres niniejszych rozważań. Trzebaby poświęcić na to osobną rozprawę np. pod tytułem: „filozofja maski".

Ale ludzkość idzie przecie w górę; stąd możliwość odkopalisk ideowych, wydobycia z popiołów zapomnienia i zignorowania, stąd możliwość podniesienia wysoko, do godności gwiazd przewodnich — myśli, które ongiś były „przedwczesne". Przyjąćby można nawet pewien fatalizm dziejowy, który wodzi tych „zapoznańców" poprzez mroki czasów, każe im pukać do serc, niepokoić dusze, aż znajdą się, którzy podniosą porzucone skarby. Przedziwnie pięknie powiada o tem Słowacki:

> A ja posyłam na północ te pieśni.
> Na północ je posyłam, miejcie czucie!
> Kiedy nie wiedzieć skąd, dziecko się małe
> Rozpłacze, rączki założy na głowie,
> Wpatrzy się w ciemność i stanie się białe,
> Jak próchniejąca wilcza kość w parowie,
> Gdy włoski staną mu jak zmartwychwstałe
> I przedrzy wielki strach i nic nie powie,
> A co innego wam w uśmiechach skłamie: —
> To mój go porwał wiatr i moje ramie!...
> (Beniowski, XII.)

Co tu o pieśni powiedziano, dotyczy wszelkiej prawdy. Mają dziwny jakiś wewnętrzny urok te chwile i postaci pokrzywdzone przez dzieje niby-bezowocnością wysiłku ich życia i przez ten urok rozkwitają, idą w przyszłość trudy ich czynów, prowadzą dalej dzieło przemiany, łowstwo dusz. Różne pokolenia z różnych stron zachodzą do nich i powoli dostają się do głębi ich wartości. Tak działa „przyszłość, korrektorka wielka". Ale trzeba lat i pokoleń, by zakres prawdy został wyczerpany, zaniedbanie czasów odrobione.

Jest u nas, w Polsce jeden klasyczny przykład na powyższe uwagi. Jest moment w dziejach naszego życia wewnętrznego, któremu do dziś dnia nie oddano sprawiedliwości, ale który fascynuje ustawicznie oczy narodu, tak, że raz po raz wchodzą w niego ludzie głębszego wejrzenia, dobywają perły prawd dziś nowych, choć dawno powiedzianych i zwiastują narodowi ich wielkość. Ale do dna skarbów jeszcze daleko.

Mówię oczywiście o polskim mesjanizmie. Bywało — rzucano już gromy na tamtych ludzi i czasy, bywało, że chciano ich zasypać piaskiem lekceważenia, bywało, osądzono ich jako „świece woskowe", a jednak oni żyją, dziś nie

*) Literatura słowiańska wykładana w kollegium francuskiem. Wydanie trzecie. — Poznań 1865. Tom 4-ty, str. 24.

mniej żywi niż przed laty 60. A świadomość polska zwraca się ku nim raz poraz. I nie jest to echo niemieckich haseł: *zurück zur Romantik! zurück zum Goethe!* etc., u nas nie o powrót chodzi, polskie hasło jest: naprzód do mesjanizmu! Naprzód, bo epoka owa wybiegła o tyle przed straże przednie narodu, że większość problemów, z którymi się porała, jest i będzie długo aktualną nieuchronnie. Tajemnica tego zjawiska w tem ponoś, że postawiono wtedy Polsce przed oczy prawdy, których przegadać nie można, które trzeba przeżyć, wprowadzić w krew i kość narodu. Dopóki się to nie stanie, wszelkie opowieści „przezwyciężycieli“ będą czczym frazesem, zbudowanym na niedowidzeniu i tchórzostwie. Do dziś obracamy się w zakresie zainteresowań mesjanicznych. Wracają do nich poeci-samotnicy, kapłani osobistej doskonałości, ale i „przezacni obmyślacze dobra pospolitego“. Dzisiejsza świadomość narodowa nastawiona jest płaszczyzną wysokiej wrażliwości na przejawy zagadnień etyczno-społecznych. A te zagadnienia stanowią przecież punkt centralny polskiego mesjanizmu.

Ale mocne są zamki na tych granicach, które stanowi troskliwy o siebie samozachowawczy instynkt egoizmu, jest rzetelna tchórzliwość przed pełnią życiowych konsekwencyj, jakie sprowadza beztrwożliwe stanięcie na drogach mesjanizmu. Wymigiwano się przed temi konsekwencjami długo i wytrwale, trudnoż ma teraz odrazu nastąpić przewrót. Wystarczy wziąć pierwszą lepszą książkę o mesjanicznych zagadnieniach, żeby mieć przykład tego — może nie zawsze świadomego — wymykania się przed życiowemi konsekwencjami, stającemi jako obowiązek.

I nie jest to ten naturalny, we wszelkim kontakcie z przeszłością konieczny nawet krytycyzm, z jakim czasy dzisiejsze odnosić się muszą w 5-ty dziesiątek lat XIX. wieku, by odróżnić rzeczy wartościowe od przypadkowych, bo wywołanych wymogami czasu i położenia owoczesnej emigracji, a dojść do niewzruszalnych walorów narodowych. Nie, to nie ten krytycyzm tu działa, ale poprostu idzie tu o osobisty interes, o obronę własnych, zagrożonych placówek; jest to epizod walki o prawo społecznej — osobliwego typu — inercji.

Stanisław Pigoń.

Z półświatka sztuki.

A. Schröder:. Ostatni Hamlet — Lwów, nakładem księgarni Zienkowicza i Chęcińskiego. 1911. str. 378.

Zdobywający sobie ostrogi na kartach naszej nowelistyki, autor przelotnych *Chwil* poezji, należy do najmłodszego pokolenia owej cyganerji literackiej, co to z niejednego pieca chleba kosztowała.

Był aktorem w trupie prowincjonalnej i profesorem gimnazjum — jest poetą i krytykiem sztuki. A pił z kielicha życia, pełnego mętów, nie same jeno słodycze... Temi różnej miary promieniami zatacza p. Schröder koła swej twórczości, zatrzymując się najchętniej i najdłużej na sferach pół lub podartystycznych.

Że stosunki te zna wybornie, nie tylko z obserwacji — bo na tę wędkę nie zawsze udaje się połów — lecz z doświadczenia, wypróbowanego w ogniu męczarni, o tem świadczy wiązanka szkiców, wydanych pod imieniem Hamleta.

Pewną, lubo nie zawsze dyskretną, ręką uchyla tu Artur Schröder rąbek kurtyny, osłaniającej dolę i niedolę jednej z trup wędrownych. Z ciekawością zaglądamy do garderoby teatralnej, skąd uderza silny zapach szminki i palonego korka. Przysłuchujemy się nie tylko wygłaszaniu roli domorosłego Hamleta, ale patrzymy — co prawda bez zgorszenia — jakto panowie z głowami łysemi jak kolano rozbierają subretki oczyma...

Oto w strzępiastej peruce stoi w kącie, spowity chmurą dymu z papierosów, na połubrany aktor i kołysząc się na boki jak żyd przy modlitwie, klnie mistyks, że „czegoś nie chce chycić“. Przy nim, z teką pod pachą, stoi wysoki jak smrek sufler ćmiąc melancholijnie cygaro. Opodal kulisów czeka niecierpliwie dobry człowieczek, inspicjent teatralny, a ruchy jego sprawiają wrażenie lalki sprężynowej, pociągniętej za sznurek.

Wykoszlawione te dusze, choć je przygniata ciężkie jarzmo, wyrywają sobie z ust, na wyścigi różne *kawały*. W potoku urwanych półsłówek, zadrga wspomnienie krótkich a płomiennych chwil szczęścia, skrzących jak błyskawica w noc czarną...

Owej zbiedzonej rzeszy Apolina, odgrywającej rolę rozsadników kultury, przypatruje się z podwyższenia podjum scenicznego Wiecha, aktor bohaterski owej trupy.

Choć tego stadka nie szczędzi, tęskni do niego jak dziecko do czerwonego kapturka. Ale gdy się spije — a pije jak bąk — wszystko, co ma na sercu, musi wypluć, aby mógł oddychać. — Z twarzy wyczytać mu można na jednym policzku krwawy dramat, na drugim cyniczną farsę.

Nie mogąc znieść ogromu głupoty tego życia, próbuje stroić zeń żarty. A za cel tych — dość tępych zresztą — grotów szyderstwa służy mu dyrektor trupy i jego małpie skoki, przypominające drągala, co z toruniem chodzi.

A ów dyrektor, to taka sobie niewinna osóbka... wylokaił koncesję, okradł swoich aktorów, okpił ciotkę — no i zmienia kochanki jak brudne skarpetki...

Gdy do tej gromadki dodasz rejenta, co to popiera i lubi sztukę... polędwicy, aptekarza ze słodkim a jak osa uszczypliwym uśmiechem, otrzy-

masz całą menażerję małomiasteczkowej inteligencji.

Od tego brudnego tła odrzyna się szlachetna postać dziwaka, co z zawiedzionemi aspiracjami na Irwinga sceny polskiej, skrobie piórem u notarjusza. Biedaczysko ogłusza się robotą i tak ogłupiał, że nie czuje już zniewagi i upokorzenia.

Jest on żywem zaprzeczeniem prawa mimiery, według którego liszka, upodabniając się do swego otoczenia, przybiera kształt i barwę konarów. Pozostał na zawsze aktorem, choć pono nie ujrzał więcej sceny. Bo kto raz dotknął się desek teatralnych, ten już nie ugrzęźnie w trzęsawisku dwunogich...

Złamany, ale nieugięty, opuszcza miasteczko, gdzie, przez dwa lata przykuty na łańcuchu do biurka, doznał takiego sromu. A jednak nie stracił nadziei, że może gdzieś przecie uwiesi się bodaj przy jakiejś podrzędnej trupie na partykularzu i po raz ostatni zagra... Hamleta.

Równie smutne myśli nasuwa nowelka, zatytułowana imieniem jednej z szansonistek teatrzyku *Variete*. Na widok uroczej Florki, z ust karminowych rzucającej w tłum rozwydrzony długie, ostre pocałunki, lowelasom z piekącego pożądania ślepie omal że nie powychodzą z orbit...

Koło wielbicieli boskiej tancerki coraz więcej się zacieśnia. Florka czuje gorące oddechy na swej piersi, co się wzdyma jak fale tłuczone wichrem. Odezwała się w niej duma kobiety. Choć spita i omdlewająca, nie podda się... A po semickim nosie jednego z zawiedzionych poznasz kto u nas staje w zawody z wyrzutkami arystokracji.

Jak Florka o miedzę z ugorem beletrystyki, obliczonej na łechtanie zmysłów, tak Wiosna nie daleko odbiega od treningu romansów sensacyjnych.

Malarz — dajmy na to Zaborski — robi portret pięknej pani. Subtelna jej główka w pierścieniu złotej fali włosów przenika jego duszę, padają na nią ból i smutek jak palące krople trucizny. Każdy ruch, każde drgnienie ukochanej budzi w nim uczucia opadających okiści wiśniowych. Rwie mu piersi wiosna, napływająca z kwietnika młodości, cała pachnąca, rozełkana...

Po co snuć dalsze dzieje tej miłości. Znacie koleje losów artysty. Mordowani obojętnością i głupotą snobów, wbijani na krzyż z osobistej zawiści, konają, jak nasz malarz w zaułkach zbrodni. Tak genialny Kurzawa, znękany ignorancją i barbarzyństwem otoczenia, skończył omal że nie w rynsztoku... Nasz bohater targnął się na życie męża owej pani, co mu siedziała do portretu Wiochny, męża filistra z oczyma prosiaka, a duszą bydlęcia.

Z gniotącej dusznej atmosfery półświatka sztuki wyrywa się na chwilę jedyna w zbiorku nowel Schrödera opowieść z życia strajkujących górników.

Na szarem, mrocznem tle nędzy robotniczej lśni w blasku lamp elektrycznych „fabryka“, której olbrzymie koła, podobne do piekielnego wiatraku, mielą w potwornem swem wnętrzu pot, mękę i łzy ludzkie... W czeluściach tego molocha, pożerającego jak ów Saturn swe własne dzieci, ginie dzielny sztygar, jeden z przywódców tego żywiołowego ruchu, a osierocił młodą, ubóstwiającą go żonę z chłopakiem.

Na wielkiem, potokami słońca oblanem podwórzu, leżą zwłoki pierwszej ofiary strajku, za nią pójdą dalsze. W powietrzu czuć odurzający czad z wystrzelonych luf, jak po uderzeniu piorunu. Zalękłe, oniemiałe z bolu pacholę ciągnie za rękę matkę i głosem, w którym czujesz napływające łzy i szepcze: „Mamo, a tatę to oni tak... za co?!“

W tych brzemiennych słowach zapytania, rzuconych przy zwłokach ubitego ojca i męża, więcej uczucia i poezji, niż na całych kartach historji owych włóczęgów Melpomeny.

Na ogół w zbiorku nowel Schrödera, puszczonych w świat przez młodą firmę księgarską (Zienkowicz i Chęciński), drga życie, bije silnie tętno krwi. Młody autor umie trzymać uwagę czytelnika w niesłabnącem napięciu, nakłada ino tu i ówdzie zbyt gorące kolory, skutkiem czego przejaskrawia nieraz obrazy, wiernie pochwycone z życia.

H. B.

Etnografja polska w Muzeum wiedeńskiem.

Austrjackie muzeum ludoznawcze we Wiedniu, zostające pod kierownictwem prof. dra M. Haberlandta, zabiera się obecnie do skompletowania etnograficznego działu polskiego. Oczywiście etnografja polska traktowaną jest ściśle w granicach czarno-żółtych, to jest, chodzi wyłącznie o Polaków w Austrji mieszkających.

Dyrekcja Muzeum wiedeńskiego odniosła się w tym celu do osób zajmujących się ludoznawstwem, z prośbą o poparcie swoich zamiarów. W odnośnem piśmie stwierdza, że nie chodzi jej wcale o ogałacanie Galicji z etnograficznych rzadkości, oraz, że uznaje wielką wagę muzeów i zbiorów etnograficznych we Lwowie i Krakowie, które prof. dr. Haberlandt zwiedził osobiście. Sądzi jednak, że w centralnem muzeum ludoznawczem nie powinno brakować polskiego działu, choćby dla celów porównawczych. Nawet ze strony polskiej wyrażono niejednokrotnie życzenie, aby dyrekcja wiedeńskiego muzeum etnograficznego poświęciła działowi polskiemu większą uwagę, a Liga przemysłowa we Lwowie już od dawna wspiera odnośne usiłowania.

Wobec tego prosi dyrekcja Muzeum wiedeńskiego o ułatwienie i informacje co do nabywania typowych, w Galicji używanych, przedmiotów etnograficznych, za zwrotem wszystkich kosztów i wydatków. Zaznacza wreszcie, że chodzi jej głównie o przedmioty z zachodniej Galicji, oryginalne przedmioty w stylu zakopiańskim, oraz odnoszące się do życia Łemków i Podola.

Zgłoszenia przyjmuje dyrekcja „Museum für österreichische Volkskunde — Wien I., Wipplingerstrasse 34“.

Zabiegliwość austrjackiego muzeum o polskie przedmioty etnograficzne jest uznania godna, a krajowi przynieść może nietylko korzyść naukową, ale i praktycznie zwrócić winna uwagę obcych na ludowy przemysł polski, sztukę i t. d. Przedmioty jednakowoż tego rodzaju, o ile by się znalazły w muzeum wiedeńskiem, powinne być ściśle oznaczone pod względem miejsca pochodzenia, przeznaczenia, nazwy itd. Oznaczenie to powinno być tem dokładniejsze, że zwykle Niemcom brak należytej orjentacji o stosunkach galicyjskich i łacno trafić się może zamieszanie co do przynależności narodowościowej poszczególnych okazów.

Wschodnie echa.

W Monachjum odbyła się niedawno wystawa sztuki mahometańskiej, która i w Polsce wywołała pewien oddźwięk. Zgłosiło się mianowicie i od nas nieco wystawców, posiadaczy zabytków tej sztuki, które są niejednokrotnie odległem echem stosunków Polski ze Wschodem — stosunków pokojowych i wojennych.

W przedmowie do katalogu wystawowego zaznaczono wielokrotne wpływy orjentalne na rozwój sztuki europejskiej. Powiedziano tam, że średniowieczna Europa przez długie czasy uważała krainy wschodnie za ojczyznę zbytku i wyższej stopy życiowej i pobierała stamtąd przedmioty sztuki i kosztowności. Materje wschodnie i jedwabne wycisnęły na sztuce zdobniczej wschodniej i północnej Europy wybitne piętno, a nawet na kolorystyczny rozwój malarstwa włoskiego w epoce renesansu nie pozostały one bez pewnego wpływu.

Począwszy od czasów średniowiecznych była Polska najgłówniejszym pośrednikiem między Wschodem a Zachodem. Przerzynały ją dwie drogi handlowe, „szlak tatarski“ lądowy i później lądowo-morska droga wołoska, które z genueńskich osad nad Morzem Czarnem, z Kaffy i Tany, lub przez Suczawę z Kilji i Białogrodu, prowadziły w głąb Polski i, przez Wrocław, do zachodniej Europy wszystko, w co tylko obfitowały tajemnicze wówczas, a niezbadane krainy Wschodu. Lwów był główną składnicą tego handlu, a chociażby z ksiąg rachunkowych Archiwum miejskiego powziąć można, w jakiej masie rozchodziły się stąd wschodnie dywany i materje jedwabne i jak bardzo były one przez współczesnych cenione.

W czasach późniejszych jeden zwłaszcza fakt wywołał wielki przewrót w modzie i upodobaniach społeczeństwa polskiego. Była nim odsiecz wiedeńska w r. 1863. Rozbity przez Jana Sobieskiego obóz Kara Mustafy dostarczył, w formie wojennej zdobyczy, tyle broni tureckiej, kosztownych materji i przedmiotów wyrafinowanego zbytku, że zalane niemi zostały dwory szlacheckie. W ślad za tem poszła chęć naśladownictwa i stąd karabele polskie poczęły przybierać co raz bardziej z turecka krzywe formy, na pasach zjawiły się ornamenty i desenie o wybitnie tureckim charakterze i powstał specjalny rodzaj kobierców, które pod nazwą „polskich dywanów“, dziś zwłaszcza przez znawców tak bardzo są cenione i poszukiwane.

„Polskich dywanów“ znalazło się też sporo na wystawie monachijskiej. Dostarczyły ich głównie zbiory zagraniczne, a kilka tylko przyszło z rąk polskich. Do nich należy dywan z XVII. stulecia przetykany złotem i srebrem, z kwiatami na tle żółtem i zielonem, pochodzący ze zbiorów Potockich z Krzeszowic, dywan z herbami Polski i Wazów ze zbiorów królewskich w Monachjum, dywan o barwnych stylizowanych motywach kwiatowych na białém tle i z orłem polskim, będący własnością antykwarjusza Szwarca z Krakowa i kilka jeszcze innych. Katalog muzealny odróżnia perskie tkane kobierce jedwabne, przetykane nitkami metalowemi (t. z. dywany polskie — a raczej makaty) takież dywany samodziałowe i dywany właściwie polskie, których czas powstania oznaczył zarząd wystawy na sam początek ośmnastego wieku.

Po za dywanami i inne jeszcze przedmioty sztuki mahometańskiej, polskiego pochodzenia, znalazły się na wystawie monachijskiej. Hr. Szembek wystawił tabakierkę syryjską z ośmnastego stulecia, hr. Tarnowska ze Śniatynki, bardzo pięknej roboty filiżankę, ofiarowaną przez sułtana w podarunku wojewodzie poznańskiemu Stanisławowi Małachowskiemu posłowi Rptej do Turcji. Jest dalej srebrne zwierciadło filigranowej roboty, agrafa złota, emaljowana z rubinami i brylantami, kubek na trzech nóżkach miedziany, emaljowany i ozdobiony gemmami. Serwis do kawy, który wystawiła hr. Potocka z Krzeszowic, pochodzić ma z namiotu Kara Mustafy, zdobytego pod Wiedniem.

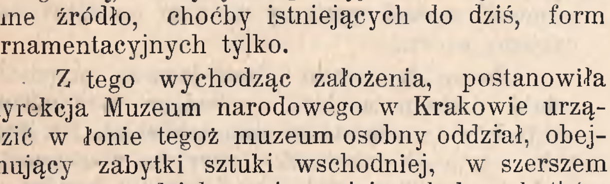
Z wyrobów szklanych wystawiło Muzeum Czartoryskich z Krakowa flaszkę pielgrzymią emaljowaną, wyrób syryjski z XIV. stulecia i z tego samego czasu pochodzącą lampę do moszeji, bogato ornamentowaną z napisami.

Osobny dział zajmują pasy polskie, niestety w bardzo niewielkiej ilości i bez wyboru zgromadzone. Kilka wystawił p. Szczukin z Moskwy, kilka hr. Potocka i hr. Mycielski. Komitet wystawowy dopatruje się w ich ornamentyce perskich wzorów.

Wśród wyrobów metalowych jedno z pierwszych miejsc, co do starożytności, zajmuje misa ofiarna, srebrna, lana, ze śladami złocenia, z wyobrażeniem ludzkich figur i zwierząt, oraz kaseta z przedstawieniem zwierząt bajecznych w wyciskanem srebrze. Oba przedmioty pochodzą z czasów dynastji Sassanidów z 5 lub 6 wieku i oba są własnością Muzeum Czartoryskich w Krako wie. Również bardzo ciekawy okaz nadesłał p. Kazimierz Przybysławski z Uniża. Jest to bronzowa nalewka, grawirowana z wyobrażeniem zwierząt i kwiatów w medaljonach, pochodząca ze wschodniego Turkiestanu (Buchary) z 17 stulecia. P. Przybysławski, o ile nam wiadomo, posiada także bardzo charakterystyczną i typową nargillę turecką z XVII w. Do obydwu tych przedmiotów przywiązana jest tradycja, że pochodzą one ze zdobyczy wiedeńskiej.

Wystawa monachijska i powyższe przedmioty, które z kraju naszego na nią nadesłano, przypomina wielką mnogość zabytków sztuki wschodniej, które się u nas jeszcze dochowały i fakt zarazem, że zabytki te stale niszczeją albo uchodzą z kraju drogą handlarską. Wpływy wschodnie na pojęcia o sztuce w Polsce na same jej twory są dotychczas niewyjaśnione należycie. Szczegółowe jednak badania w tym kierunku utrudnione są bardzo, gdyż i większość tego rodzaju zabytków ukrywa się w zakrystjach kościelnych, albo w rękach prywatnych. Dopiero wystawa zabytków sztuki mahometańskiej, gdyby się ją ktoś u nas podjął urządzić, przyniosłaby materjał prawdopodobnie zadziwiający swoją mnogością, któryby mógł wyjaśnić niejedno ciemne źródło, choćby istniejących do dziś, form ornamentacyjnych tylko.

Z tego wychodząc założenia, postanowiła dyrekcja Muzeum narodowego w Krakowie urządzić w łonie tegoż muzeum osobny oddział, obejmujący zabytki sztuki wschodniej, w szerszem znaczeniu, gdzieby mianowicie obok zabytków mahometańskich znalazły pomieszczenie i zabytki innych ludów wschodnich, których wpływ na Polskę w szerszym lub większym zakresie jest widoczny.



Przeniesienie ogrodu botanicznego.

Na razie jeszcze lwowski ogród botaniczny przy uniwersytecie stoi nienaruszony i przez kilka następnych lat nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Zanotować to należy w interesie okolicznych mieszkańców, którym ubytek takiej zielonej oazy, nie może być obojętny. Kwestja bowiem przeniesienia tego rodzaju zakładu naukowego, jak ogród botaniczny długiego wymaga czasu i długich przygotowań.

Prof. dr. Teofil Ciesielski bawił tego roku w Berlinie, gdzie właśnie otwarto, daleko za miastem, uniwersytecki ogród botaniczny na kilkudziesięciu morgach gruntu. Profesor botaniki chciał się przypatrzyć urządzeniom tamtejszego ogrodu botanicznego i nowym ideom przy jego zakładaniu i projektowaniu. Przekonał się jednak, że nauka niemiecka odnośnie do ogrodów botanicznych nie postąpiła o wiele naprzód, a lwowski ogród botaniczny poszczycić się może jednym przynajmniej działem, który zagranicą nigdzie dotychczas nie znalazł zastosowania. Jest to hodowla flory miejscowej, której prof Ciesielski wiele poświęca starań i pracy.

Kto widział lwowski ogród botaniczny, ten zauważył zapewne część jego w formie niewielkiej pochyłości, spadającą ku oknom budynku uniwersyteckiego od tyłu. Napis ogólny głosi, że rosną w tem miejscu rośliny z okolic Lwowa, a szczegółowe napisy przy każdej roślinie podają jej nazwę w polskim i łacińskim języku. Utrzymanie tego działu, bardzo ważnego dla systematyki roślin, przedstawia niezwykłe trudności, bo wiele roślin, które stanowić mają okazy, wyrastają zaraz tuż obok jako chwasty, które trzeba skrupulatnie pod fachowem kierunkiem wypleniać. Również i fizjologiczne badania roślin prowadzone są pod kierunkiem prof. Ciesielskiego w sposób odmienniejszy i bardziej rozleglejszy niż gdzieindziej.

Wracając do kwestji przeniesienia ogrodu botanicznego na świeżo przez rząd zakupiony grunt na Cetnerówce, to przeniesienie to wymagać będzie przynajmniej trzech lat czasu. Przedewszystkiem trzeba będzie wybudować nowe budynki cieplarniane, z dotyczasowego bowiem ogrodu da się przenieść co najwyżej jeden, następnie przesadzanie roślin i kwiatów przedstawia znaczne trudności, a wreszcie szczupła bardzo dotacja rządowa uniemożliwi pospiech w robotach.

Obecnie tedy obszar gruntu na Cetnerówce leży prawie odłogiem, a w budynku, również przez rząd zakupionym, zamieszkał prof. Ciesielski, który nowy ogród botaniczny będzie zakładał i urządzał. Stary ogród pozostanie na razie w dotychczasowym stanie, dopóki w środku jego nie rozpocznie się budowa nowego gmachu uniwersyteckiego. Wtenczas część drzew zostanie wycięta, reszta zaś dostarczy chłodu i cienia przyszłemu uniwersytetowi.

W taki sposób zamyka się przeszło studwudziestoletni okres istnienia ogrodu botanicznego we Lwowie. Podobnie, jak obecnie przy przenosinach miał rząd kłopoty i przy jego zakładaniu. Wówczas sprawą interesowała się bezpośrednio wiedeńska kancelarja nadworna i cesarz Józef II. osobiście. Gdy jednak kancelarja nadworna debatowała nad kwestją, gdzieby le-

piej było instytutowi botanicznemu, w ogrodzie zniesionego klasztoru Brygidek (ul. Kaźmierzowska), czy Dominikanek (dziś Ossolineum) to cesarz Józef biletem odręcznym rozstrzygnął sprawę na rzecz ogrodu zniesionych XX. Misjonarzy (ul. Żółkiewska). Urządzeniem ogrodu miał się zająć słynny Abbé Liesganig, na razie zaś, aby nie leżał odłogiem, postanowiono go wydzierzawić. Pierwszym kierownikiem ogrodu był profesor botaniki, sprowadzony z Insbruku, Burchard Svibert Schivereck.

Koszyłowce wobec kultury neolitycznej Galicji wschodniej.

(Dokończenie).

Gdyby nie traf losu, to kto wie czy poszczęściłoby się archeologji odpowiednie dokładne badanie i zapoznanie się z produktami tej kultury, nieznanej dotychczas ze swych początków i pochodzenia.

Od dawna znaną była w archeologji przedhistorycznej miejscowość Koszyłowce w pow. zaleszczyckim. Wieś ta położona na podolskiej glebie, urodzajnej tak w zboże jak i w zabytki przedhistoryczne, zamieszkana była od najdawniejszych czasów przez ludność neolityczną jeszcze przed późniejszą, malującą swoje wyroby gliniane. Po niej to pozostałe ślady w postaci najpierwotniejszego u nas grobu t. zw. skrzynkowego odkrył w 1878 r. A. Kirkor, który znalazł w nim toporek z przebitą dziurą na drewniane toporzysko obok innych narzędzi krzemiennych[1]). Od tego czasu nie słyszano już nic ciekawego o tej prastarej osadzie podolskiej, która w naszych dopiero czasach nabrała niemałego rozgłosu dzięki badaniom dokonanym przez dra K. Hadaczka.

Jeszcze około 1878 r.[2]) natrafił tu A. Schnejder na czerepy gliniane, które uważał za resztki wyrobów rzymskich, nie znając ich właściwego pochodzenia, wyjaśnionego dopiero nieco później przez dalsze podobne odkrycia, dokonane prawie równocześnie w kilku miejscowościach Galicji. Wiadomość podana przez Schnejdra pozostała nie wykorzystana do czasu, kiedy dzięki przypadkowi zabytki koszyłowieckie zwróciły uwagę prof. R. Kaindla z Czerniowiec, znanego badacza stacji z malowaną ceramiką w Szypenicach na Bukowinie. Prof. Kaindl ograniczył się jednak do pobieżnego tylko przeglądu zabytków Koszyłowiec i na podstawie wiadomości zebranych osobiście lub przez właścicieli wsi, ogłosił sprawozdanie o dokonanych ciekawych odkryciach, zilustrowanych rysunkami ciekawszych przedmiotów, zwłaszcza wyrobów glinianych[3]).

Ponieważ jednak zabytki w tej miejscowości bynajmniej nie zostały wyczerpane, a owszem pokazało się, iż są one wprost nieprzebrane więc zbadaniem ich naukowem zajął się konserw. dr. K. Hadaczek. Jego to badaniom zawdzięczamy bliższe objaśnienie wspaniałych wykopalisk koszyłowieckich, mogących się śmiało równać z bilczeckiemi, a przewyższającemi je nawet bardziej doskonalszemi formami, tudzież wyżej stojącą techniką ceramiczną. Osada bowiem w Koszyłowcach pochodzi z późniejszych już czasów epoki archaiczno-mykeńskiej i z tego również powodu przedstawia tem większą wartość dla nauki.

Badanie na miejscu przeprowadził dr. Hadaczek w latach od 1908 począwszy i obecnie spodziewać się należy, iż ogłosi z nich obszerne sprawozdanie naukowe, które zapewne poprawi błędy archeologów dawniejszych, popełnione w badaniach osad z ceramiką malowaną.

W 1908 r. zbadał dr. Hadaczek przeszło 30 większych zabudowań, dających się i dziś jeszcze dokładnie rozpoznać po złomach gliny, występujących w oddzielnych skupieniach. Po domach pozostały podłogi gliniane, na których natrafić można piecyki ulepione na płytach ustawionych w owal. Rozkopał również jedno domostwo o 30 m. długości, a 20 szerokości, obejmujące cały kompleks podłóg; znaleziono liczne narzędzia kamienne, noże, toporki, kilkadziesiąt glinianych ciężarków od krosien, kościane szpile i toporki, kamienie żarnowe, oraz cały zbiór figurek z terakoty. Starsze idole okazują postać ludzką o nogach złączonych jeszcze w jedną całość (Bilcze, Trembowelskie, Szypenice i Seret), w późniejszych nogi są już rozdzielone. Na szczególną uwagę zasługuje jedna nóżka męska, wykonana realistycznie z dokładnie wyrzeźbionym bucikiem, a nadto ucho od dzbana w kształcie głowy byka. Jedna z amfor ozdobiona jest falistym ornamentem i postacią ludzką — egzemplarz zupełnie dotychczas u nas nieznany.

W letnich miesiącach bieżącego roku odnalazł dalej dr. Hadaczek na przestrzeni kilkunastu-morgowej mnóstwo piecyków okrągłych budowanych w trzech szeregach. W gruzach, pochodzących bądź z piecyków, bądź z budowli drewnianych zniszczonych pożarem, znalazło się wiele malowanych naczyń glinianych, wielka ilość figurek, przedstawiających męskie

---

[1]) A. Kirkor. Badania archeologiczne w 1878 r. Kraków 1879, str. 67. Odbitka z III. t. Zbioru wiad. do autr. kraj.

[2]) Dwutygodnik naukowy, wzd. przez T. Ziemięckiego, Kraków 1878, tom I., str. 528; Strzecha ojczysta, Lwów 1879 r., zesz. 5.

[3]) R. Kaindl. Funde mit bemalter Keramik in Koszyłowce. Jahrb. für Altertumskunde. Wiedeń 1908.

i niewieście postacie w pozie stojącej lub siedzącej (również poraz pierwszy u nas tego rodzaju), dalej figurki byków, baranów, psów i świń, zupełnie podobnych do wydobytych w Szypenicach na Bukowinie. Znalazła się również podobizna konia, którego wyobrażenia plastycznego dotychczas z tej epoki nie znano.

Niemniej ciekawe są wyroby kamienne, wydobyte w wielkiej ilości. W tym roku znaleziono tamże fragment figurki kościanej i spiralkę bronzową (dowód istnienia naczyń malowanych przy samym końcu okresu neolitycznego wogóle, a kultury koszyłowieckiej osady w szczególności). Niektóre naczynia ozdobione są plastycznymi motywami, głównie ucha mają kształty głów zwierzęcych, podobnie jak w osadzie szypenickiej, istniejącej równocześnie z koszyłowiecką; obie te osady powinne być dokładnie porównane, ponieważ w wielu szczegółach uzupełnić się mogą wzajemnie.

Wykopaliska koszyłowieckie z tego powodu mają wielkie znaczenie, iż świadczą o bujnej cywilizacji, związanej z kulturą grecką epoki przedmiceńskiej (3000 lat przed Chr.). Na tej kulturze wyrosła następnie kultura królewska w Grecji, a także cała środkowa Europa ulegała wpływom stąd płynącym. Dokładniejsze przeprowadzenie analogji z innemi stacjami europejskiemi, będzie mogło rozwiązać ogromnej wagi pytanie, czy osady tego typu, rozrzucone gęsto na wielkim obszarze południ.-wschodniej Europy, przypisać należy protoplastom Greków, czy też innym, do sztuki uzdolnionym plemionom, z Grekami doby królewskiej spokrewnionym. Rozwiązanie tego i tym podobnych pytań, związanych z tą kwestją, oczekiwać należy po dalszych badaniach dra Hadaczka nad kulturą archaiczno-mykeńską, którą obrał sobie za specjalne studjum.

B. Janusz.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Madonna Busowiska. Nowela Władysława Łozińskiego, wydanie trzecie. Lwów 1911. Księgarnia H. Altenberga. Oto obrazek pisany łzą i nędzą, ciemnotą ludu wiejskiego, a sam taki jasny, świeży i porywający. Historja Nasty pocztarki, która każdą myśl swej biednej, ciemnej głowy niesie w krainy zaziemskie, gdzie jej mały Wasylko pomarłszy służy w wojsku niebieskiem, między cherubinami, »fabryka« nowej cerkwi w Busowiskach, malarz Zygmunt u schyłku życia malujący dla Nasty obraz Matki Boskiej, który ona ofiaruje do cerkwi dla wymodlenia lepszej doli swemu jedynakowi w niebie, burza miotająca gromadą busowiska na widok obrazu, odbiegającego bardzo daleko od zwykłych cerkiewnych malowideł usunięcie obrazu i tragiczna śmierć Nasty — to wszystko, jakby barwne, łzawe paciorki nanizane w opowieść, o duszy chłopskiej, jej sprawach i porywach.

A sama opowieść gawędzi o tej duszy chłopa z okolic Staregomiasta, jakby o dobrej znajomej. W noweli Łozińskiego nie dzieje się nic samo ze siebie a każde zdarzenie opowiada autor swoim prześlicznym językiem i doskonałą prozą, wplatając wszędy refleksję własną i gdzie niegdzie pogodną, rzewną uwagę.

Pisana była nowela przed laty dwudziestu i ma za sobą dwa wydania polskie i dwa tłumaczenia na język francuski i niemiecki. Obecnie uczynił p. Altenberg wydanie trzecie, ze słusznego wychodząc stanowiska, że od czasu zupełnego wyczerpania jej w handlu księgarskim i antykwarskim, przybyło całe pokolenie czytelników, dla których to trzecie wydanie będzie zupełną nowością.

Jakoż i jest nowością w nerwowej dzisiejszej literaturze, taka przez łzy uśmiechnięta, z mroków wysnuta, a słoneczna opowieść, która z twardego kamienia duszy chłopskiej, tyle iskier wykrzesać umie i złączyć je w snopki światła nad głową Nasty pocztarki i Kłymaszka, co cerkwie same tylko drewniane buduje i włościanki Tekli, co tak dobrze i pięknie rozumie Matkę Bożą, żniwiarka w zgrzebnej koszuli, która była kobietą, jak inne kobiety i stoi napisano, że była biedna i pracowała tak jak inne kobiety, a czasem głowy gdzie skłonić nie miała, jak najbiedniejsza najmitka i płakała za synem, jak inne matki płaczą...

Niniejsze wydanie tej prawdziwej perełki literackiej ozdobione jest typograficznie przez p. J. Bukowskiego. *J.*

NOTATKI.

»Lisowczyk« Rembrandta. Przed wysłaniem do nowego swego właściciela w Ameryce, znakomity »Lisowczyk« Rembrandta — a raczej studjum portretowe syna mistrza, Tytusa, z galerji dzikowskiej przez pewien czas wystawiony był w Londynie w galerji p. Carfaxa który był pośrednikiem przy sprzedaży. Obraz, pięknem kolorytem i egzotycznością kostjumu jeźdźca zakrawający na cudną bajkę wschodnią, wywołał istny zachwyt wśród miłośników sztuki. Tak nie wiele posiadamy arcydzieł wielkich mistrzów europejskich, że sprzedaż wybitnego dzieła Rembrandta na zawsze pozostanie utratą dotkliwą naszego dorobku artystycznego.

P. E.

Portret Kościuszki z XVII(!) wieku. W okolicach Moskwy położona jest wspaniała rezydencja hrabiów Szeremetjewych »Ostankino«, którą między innemi w maju r. 1797 odwiedził Stanisław August i w »Dzienniku« swym pełnemi zachwytu wyrazy opisał. W galerji obrazów tego pałacu wisi popiersie młodego mężczyzny na desce drewnianej soczystem pędzlem malowane, które w dawnych katalogach galerji mianowane jest portretem... Kościuszki. Malowidło to jednak niewątpliwie jest pochodzenia flamandskiego z wieku XVII, na co zresztą kostjum mężczyzny wskazuje, a z rysów trudno się tu dopatrzeć podobieństwa z bohaterem z pod Racławic. Pozostaje zatem zagadką, skąd się wzięło owe określenie w katalogu galerji ostankińskiej. Portret ten po raz pierwszy jest reprodukowany w ostatnim zeszycie miesięcznika petersburgskiego »Staryje Gody«, w całości poświęconemu opisowi »Ostankina«,

P. E.

Z „Drukarni Polskiej“. Nakładem „Kurjera Lwowskiego.